

WSPOMNIENIA O MAGDALENIE SAMOZWANIEC

Zygmunt Niewidowski

30 LAT ŻYCIA Z MADZIĄ



Świat Książki

**30 LAT ŻYCIA
Z MADZIĄ**

Zygmunt Niewidowski

30 LAT ŻYCIA Z MADZIĄ



WSPOMNIENIA
O MAGDALENIE SAMOZWANIEC


Świat Książki

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Grażyna Brzezińska
Tadeusz Mahrburg

Copyright © Teresa Podraza & Ireneusz Sokołowski 2011

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobą trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Wszystkie zdjęcia zamieszczone w książce
pochodzą z archiwum Rafała Podrazy.

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

ISBN 978-83-247-2549-6-1
Nr 45082

Było cudowne słoneczne popołudnie 1942 roku. Akurat środek wojny. Dzień, jak w drugorzędnej literaturze, wymarzony dla zdarzeń wyjątkowych i niespodziewanych. Ten jednak zdawał się niczego nie zapowiadać. Tylko słońce świeciło żywiej i cieplej.

Pracowałem podówczas w krakowskim lombardzie jako rzeczoznawca. W owym czasie była to spokojna praca i, co nie bez znaczenia, niezwykle interesująca. Ale co tu dużo mówić, dostarczająca codziennie wielu powodów do przygnębienia i smutku, którego poza pracą i tak nie brakowało. Lombard, jak przysłowiowa soczewka, skupiał w sobie wszelkie nieszczęścia, nędzę i upokorzenia okupowanego narodu. Ludzie trapieni wojenną niedolą tu, w miejskim lombardzie, dość często szukali ostatniej deski ratunku. Nic dziwnego, że też przyjmowaliśmy pod zastaw wszystko. Począwszy od używanej odzieży i obuwia po najwspanialsze dzieła sztuki, perskie dywany, srebra, złoto czy drogocenną porcelanę. Obok rupieci i starzyzny dzieła ogromnej wartości, obok autentyków przynoszono fałszywe obrazy Malczewskiego, Fałata, Kossaka lub innych wybitnych malarzy, a wszystkie sygnowane oryginalnymi atestami oderwanymi z prawdziwych płócien i teraz sprytnie naklejonymi na fałszyfikaty. W większości wykrycie oszustwa nie nastroczało trudności, czasami jednak zdarzały się przykłady roboty tak znakomitej, że stawałem wobec niej całkowicie bezradny. Wówczas nie pozostawało mi nic innego, jak szukać pomocy u naszych etatowych ekspertów, history-

ków sztuki: dyrektora Muzeum Narodowego Feliksa Kopery, człowieka wyjątkowej wiedzy, i kustosa dr. Buczkowskiego. Wiele im zawdzięczam. Po wielokroć nie tylko ustrzegli mnie przed popełnieniem fatalnej w skutkach pomyłki, ale też sporo mnie nauczyli, co w tamtych czasach miało dla mnie wartość nieocenioną.

Z tamtych okupacyjnych lat pamiętam zdarzenie, które utkwilo mi bardzo głęboko w pamięci.

Otóż któregoś dnia weszła do lombardu jakaś starsza zadbana pani i podeszła nieśmiało do mojego kantorka.

– Proszę pana – zapytała niepewnie – czy złoto również przyjmujecie pod zastaw?

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedziałem uprzejmie. Kobieta odwróciła się do mnie tyłem i dyskretnie wyjęła z ust mostek-protezę, w której tkwiło kilka złotych zębów. Wytarła ją bardzo starannie chusteczką i nie bez zażenowania podała, spoglądając wyczekująco. Byłem skonsternowany i nie wiedziałem, co począć. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Widząc moje zaskoczenie, wyjaśniła spiesźnie, że nie przyszłaby tu, gdyby nie zmusiła ją do tego konieczność.

– Znalazłam się w trudnej sytuacji, potrzebuję natychmiast kilkudziesięciu złotych na opłacenie elektryczności. Jeśli dziś tego nie załatwię – mówiła – inkasent wyłączy mi prąd. Jestem bez wyjścia. A zastaw – dodała – wykupię najdalej za kilka dni. Oddałam właśnie do sprzedania jesionkę mojego zmarłego syna, będę więc miała pieniądze na wykupienie.

Byłem poruszony, choć przecież i lombard, i otaczająca rzeczywistość nie oszczędziły nam zdarzeń i scen drastycznych. Nie przyjęła jednak wyższej zaproponowanej przeze mnie sumy za zastaw. Liczyła na spore pieniądze za płaszczy, które pozwoliłyby jej – pamiętam to nawet dość dobrze – „żyć spokojnie jakiś czas”, no i oczywiście wykupić zastaw.

Bodajże w dwa dni później z ogromną ulgą zwracałem zastaw właścicielce.

Tak, to były ciężkie czasy dla wszystkich. Wielokrotnie przychodzili ludzie, przynosząc ze sobą przedmioty o znikomej wartości, może jedy-

ne, jakie pozostały w domu, aby zdobyć choć kilka groszy na pochówek najbliższych. Nie było można inaczej, zapomniałem o obowiązujących nas przepisach i pomagałem im, jak tylko było to możliwe. Zdarzało się też i tak, że przynoszono przedmioty całkowicie bezwartościowe, których pod żadnym pozorem nie mogliśmy przyjąć. Wówczas pracownicy lombardu – sporo ryzykując – udzielali drobnych pożyczek. I zwracano je, przyznać muszę, uczciwie.

Co tu gadać, biuro nasze było dla wielu ludzi osamotnionych i skazanych na własne siły ostatnią szansą. A że czasy były ciężkie i żyć nikomu nie było łatwo, toteż przewijało się przez nasz zakład kilkaset osób w ciągu miesiąca. Wśród nich nie brakowało takich, którym nie starczało dosłownie na chleb.

I właśnie w ten piękny sierpniowy dzień, kiedy bez reszty pochłonięty byłem szacowaniem złotej bransolety wysadzonej brylantami i szmaragdami, do lombardu weszła elegancka, czarno ubrana dama. Zrazu nie zwróciłem na nią uwagi, tak pochłonięty byłem jubilerskim cackiem. Stała z boku i z napiętą uwagą przyglądała się całej transakcji. Twarzy nie mogłem dostrzec, gdyż kryła ją czarna woalka spadająca z małego, również czarnego kapelusika. Po chwili spostrzegłem, że suknia, w którą była ubrana, choć przerobiona – widać to było po dawnych ściegach na materiale – uszyta była ze smakiem i prezentowała się elegancko, by nie powiedzieć wytwornie. Jedyne oszczędny dodatek stanowiły czarne lakierowane korale. Wreszcie czarne pończochy ze szwem (trudno było tych szczegółów nie dostrzec w tym niezbyt interesującym otoczeniu) podkreślały przebiegle zgrabną linię nóg, przydając tym samym całości urody i powabu. W tej subtelnej postaci uwagę przykuwała jednak przede wszystkim niedbale zapakowana w gazetę, trzymana pod pachą paczka, z której wystawał prowokacyjnie solidny obcas męskiego buta!

Kiedy już byłem wolny, podeszła do mnie i nie podnosząc woalki, zapytała z niewymuszonym uśmiechem, czy może zastawić buty narciarskie.

– Naturalnie – odpowiedziałem, że oczywiście przyjmujemy każdą rzecz posiadającą jeszcze jakąś wartość i że w związku z tym również

przyniesione przez nią buty gotowi jesteśmy z radością przyjąć, etc., etc. W końcu nie omieszkalem zapytać o wartość zastawu, boć to przecież rzecz podstawowa.

– A ile łaskawa pani spodziewa się otrzymać za te buty?

– Och, możliwie najwięcej! – odpowiedziała z wdziękiem i bez namysłu.

Niestety, moje uwielbienie dla urody kobiecej ogarnęło mnie i tym razem. Nie zastanawiając się wiele ani nie oglądając specjalnie przyniesionego obuwia, zaproponowałem jej kwotę tak absurdalnie wysoką, że promieniowała ze szczęścia. Poprosiłem o kennkartę, aby dopełnić rutynowych formalności, no i tu wyjaśniło się wszystko, a moja łapczywa ciekawość została w pełni zaspokojona. Wiedziałem już, kim jest dama i skąd ta czerń w piękny słoneczny dzień.

Była to Magdalena Samozwaniec, córka zmarłego przed kilku dniami słynnego malarza, Wojciecha Kossaka.

I tak to się wszystko zaczęło.

Jeżeli dobrze pamiętam, nie minęły dwa dni, a zjawiała się ponownie w lombardzie, tym razem w towarzystwie równie zgrabnej i na czarno ubranej blondynki. Przyniosły jakieś srebra. Nieznajomą okazała się Elżbieta, żona Jerzego Kossaka, syna Wojciecha, a brata Magdaleny.

Czy w ten przykry sposób – zastanawiałem się, wypisując kolejny kwit – przyjdzie mi poznać pozostałych członków tej zacnej rodziny?

Kossakowie znajdowali się widocznie w bardzo trudnej sytuacji, gdyż także następnego dnia Magdalena przyniosła kolejny drobiazg. A w parę dni później, tuż przed zamknięciem biura, zachęcona zapewne moją niepohamowaną szczodroblewością, wpadła z małym obrazem Juliusza Kossaka pod pachą. Nasza rozmowa była jak zwykle krótka:

– Ile? – ja.

– Możliwie najwięcej – ona.

No i oczywiście dostała. Już po podjęciu pieniędzy w kasie podeszła do mnie, podniosła woalkę, którą – muszę to podkreślić – cały czas

skrzątnie maskowała twarz chyba po to tylko, aby z właściwą sobie kokieterią zrobić teraz na mnie dodatkowe wrażenie. No więc z wdziękiem odrzuciła woalkę i rzekła:

– Jest pan dla mnie tak wspaniałomyślny, że zapraszam pana na kieliszek... czyściochy do pobliskiej knajpki przy ulicy Gołębiej.

Jeżeli powiem, że nie byłem zaskoczony, skłamię. Byłem. Nie odmówiłem jednak. Czyż mogłem odmówić kobiecie, i to tak niecodziennej? Nie mogłem. Fascynowało mnie w niej dosłownie wszystko: jej głos, charakterystyczne, z francuska wymawiane „r”, wreszcie jej nazwisko, pozycja... i cała ta niecodzienna sytuacja, w której się znalazłem, a która kusila tajemniczo. Nie muszę taić, moja męska ambicja została mile połączona. Ba, czułem się nawet szczęśliwy, że oto ja, chłopak z małego miasteczka, mam okazję wypić „kielicha” ze znaną pisarką, na dodatek jeszcze córką Wojciecha Kossaka, szanowanego i znanego malarza. Szczęścia aż nadto wiele.

W kilkanaście minut później siedzieliśmy już w zacisznej knajpce przy Gołębiej, popijając zamówioną czyściochę. I choć pani Magdalena bardzo była jeszcze przygnębiona śmiercią swojego ukochanego „Tatki”, wieczór zapowiadał się wcale obiecująco. Gawędziliśmy o wielu sprawach – ważnych i zupełnie błahych. Jakich? – to nie do wygrzebania z pamięci. Jedną wszelako, chociaż wódka w głowach nam coraz bardziej szumiała, dość dobrze zapamiętałem.

Była to zabawna, a przy tym niebezpieczna przygoda, jaką miał Wojciech Kossak z adiutantem generalnego gubernatora dr. Hansa Franka, postaci w dziejach II wojny światowej niezwykle mrocznej. Otóż adiutant ów dwukrotnie przyjeżdżał do „Kossakówki” przekonać starego Kossaka, aby namalował portret jego dostojnego zwierzchnika. Naprawdę sytuacja wcale nie była wesoła. Odmówić wprost – nie było sposobu, a namalować – kompromitacja i dyshonor. Następnego dnia po ostatniej wizycie adiutanta pani Zofia Jachimecka, o której później, aż popłakała się z radości, kiedy usłyszała, jakiego fortelu użyć musiał gospodarz, ażeby bez szwanku na honorze i ciele wyjść z opresji. Ot, po prostu odegrał przed hitlerowcem komedię, udając zgarbionego, zniedołężniałego,

schorowanego ciężko starca, który swoimi trzęsącymi się rękoma nie namalować nie może, a już portretu gubernatora zwłaszcza. Scenę finałną odegrał ponoć tak sugestywnie, że gorliwego adiutanta przekonał ostatecznie i bez reszty.

– Pani Zofia – opowiadała zachwycona Magdalena – wyściskała i wycalowała Tatkę za tak wspaniałą, patriotyczną postawę. W ten sposób – kończyła opowieść z nieukrywaną satysfakcją – generalny gubernator dr Frank nie dostał zaszczytu posiadania w swej kolekcji płótna pędzla Wojciecha Kossaka, mojego ojca.

Mile zaczęty wieczór przykro byłoby szybko skończyć, przeto nie porzuciliśmy na jednym kieliszku. Po kilku następnych „głębszych” stała się bardziej wylewna. Zaczęła opowiadać o swojej siostrze Lilce (Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej), o „mamidle” – matce, o bracie. W jej słowach czułem ogromne przywiązanie do rodziny i miłość, zwłaszcza do Lilki i zmarłego ojca.

Wtedy też opowiedziała mi perypetie z zastawionym dopiero co obrazem dziadka. Rano wybiegła na miasto z obrazem pod pachą w nadziei, że szybko go sprzeda. Jak się okazało, nie było to takie proste. Jakaś handlarzka – widać baba nie w ciemną bita – owszem, zaproponowała jej kupno, ale po tak potwornie niskiej cenie, że tylko wyć z rozpacz. Cóż było robić? Chcąc nie chcąc, poszła do lombardu, na czym i tak dobrze wyszła, bo dostała o niebo więcej, niż jej proponowano za kupno. Dlatego była tak uszczęśliwiona i promieniała radością.

Nie dziwiłem się temu wcale. W ten niewyszukany sposób udało się jej zapewnić i sobie, i matce środki utrzymania na okres kilku przynajmniej tygodni. A co najważniejsze, bez konieczności sprzedawania obrazu.

Chociaż alkohol robił swoje i gadało nam się coraz przyjemniej – a Magdalena mimo świeżych przeżyć nadal była czarującą i pełną wdzięku kobietą – wyczuwałem, że myślami jest wśród najbliższych. Wówczas jednak tak dalece oczarowany byłem jej niezwykłą osobowością, że dopiero po latach, gdy poznałem ją bliżej, mogłem przekonać się, jak niewiele pozostało owego wieczoru z jej wrodzonego beztróskiego humoru, towarzyszącego jej zwykle w codziennym życiu.

Następnego dnia po wieczorze na Gołębiej, bez skrępowania właściwego paniom tamtej mieszczańskiej obyczajowości, zadzwoniła do lombardu i zaproponowała mi wspólną wycieczkę rowerową za miasto nad Wisłę.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy jest sens tracić czas na tego typu eskapady, podczas gdy gotów do prawdziwie męskich działań mogłem równie mile spędzić czas z jedną z młodych i czarujących istotek gotowych na różnego rodzaju figle, jednak ostatecznie snobizm zwyciężył. Dzień z dystygowaną damą i intelektualistką bardziej mi pochlebiał.

W niedzielę rano pojechałem na plac Kossaka. Przed furtką czekała już pani Magdalena gotowa do drogi. Do bagażnika jej roweru przytroczony był gustowny wiklinowy koszyczek.

– Panie Zygmuncie – oznajmiła mi wyraźnie rozbawiona – w tym oto czarodziejskim koszyczku mamy wszystko, co dusza zapagnie. To nasz niewyczerpany bufet na cały dzień. – Było to oczywiście dzieło niezastąpionej Kucharci, o czym dowiedziałem się później.

Nie zwlekając, ruszyliśmy. Dzień zapowiadał się upalny. Niebo bez jednej chmurki, choć zbliżał się nieuchronnie koniec polskiego lata. Wymarzona pogoda na wycieczkę. Szybko wydostaliśmy się poza rogatki miasta. Tu oddychało się swobodnie.

Po drodze mijaliśmy odświętnie ubranych mieszkańców okolicznych wsi, spieszących do kościoła na niedzielną mszę. Te barwne korowody wśród zżętych łąnów, podbarwionych złotem i zielenią polnych dróg zachwycały swą baśniowością. Mijaliśmy kolejne wsie. Zaskakiwała nas ciszsza przerywana ujadaniem psów, porykiwaniem krów, to znów kościelną sygnaturką.

Magdalena niezmiennie zachwycała się tęczowymi barwami krakowskich strojów, olbrzymimi czerwonymi koralami, tanecznym krokiem młodych wiejskich kobiet.

– Ileż wspaniałych modelek miałby tu Tatko! – wykrzykiwała podniecona. Jechaliśmy dalej.

– Niech pan spojrzy – wołała – na te stojące mendlę pszenicy, to

ściernisko, zupełnie jak na obrazie Milleta, prawda? Brak tylko kłosiarek zbierających kłosa. Czyż taki widok nie raduje ponurej duszy mieszcza-cha? Niech pan powie, nie warto wyjechać za miasto, aby znaleźć się w otoczeniu natury? Nie patrzeć na te ohydne czynszówki kamieniczników, nie wachać rozgrzanego cuchnącego asfaltu? Stęchlizna bram i krakowskich podwórz! Nie warto?

Coś tam przytakiwałem, ale mało ją to obchodziło. Mówiła raczej do siebie niż do mnie. Musiała wyrzucić z siebie te wszystkie emocje.

– Panie Zygmuncie, niech pan pomyśli, cóż to za radość dla oczu, nerwów, płuc! – perorowała dalej podekscytowana. – Zazdroszczę ludziom, którzy mają zawody związane z przyrodą. To musi być cudowne! Oni chyba są szczęśliwymi ludźmi, prawda?

Wkrótce i mnie udzielił się ten nastrój, pełen nieco taniego emocjonalizmu. Ale ta radość, prosta i dziecinna, była wyrazem naszych elementarnych potrzeb, wrażeń, których sami pozbawialiśmy się, przesiadując w ciasnym i dusznym Krakowie.

Tak to ciesząc się i podziwiając nadwiślańską przyrodę, gadając o tym i o owym, ani spostrzegliśmy, gdy nasze rowery moczyły koła w Wiśle daleko za Tyńcem. Teraz nastąpiła kolejna eksplozja zachwytów i nieukrywanej szczerzej radości: nad leniwie płynącą Wisłą i urzekającym kolorytem wody, nad fantazyjnie poszarpanym brzegiem rzeki, gęstym w upale zapachem wiklin, spóźnionym sierpniowym śpiewem ptaków, ubarwiającym ciszę i towarzyszącym nam podczas zbierania smakowitych jeżyn. Chciała mnie tym podziwem dla świata zarazić.

Podczas tych turystycznych eskapad poznawałem Magdalenę z zupełnie innej strony. Zdumiewała mnie i onieśmielała jej niezwykle wnikliwa obserwacja przyrody, życia, ludzi, o którą początkowo zupełnie jej nie posądzałem. Umiejętność dostrzegania najrozmaitszych drobiazgów, sposobu bycia ludzi, ich słabości i śmiesznośtek, zwłaszcza jawnych i ukrywanych snobizmów. Z tych bystrych obserwacji rodziły się wcześniej i już po wojnie jej pikantne felietony, w których wykpiwała głupotę, chamstwo, kołtuństwo. Z piekielną zawziętością niszczyła wszystko, co trąciło fałszem, udawaniem, co było tylko pozą czy stylem życia, co wy-

muszone i nienaturalne. Siłę i źródło swej postawy moralnej znajdowała właśnie w tym prostym a szlachetnym uwielbieniu natury.

Magdalena imponowała mi. Trudno się było temu dziwić, była nie tylko ode mnie starsza, ale i bardziej doświadczona, bardziej uwrażliwiona w kontaktach ze światem, bardziej wnikliwa i bezkompromisowa.

W owym czasie moje postrzeganie świata miało mocno ograniczony horyzont, na którym zazwyczaj w oddali majaczyła postać powabnej dziewczyny. W znacznym wyostrzeniu dostrzegałem jednak zalety Magdaleny i niedostatki innych dam. Znałem wiele kobiet z krakowskiego środowiska, pięknych, pociągających, pełnych wdzięku i powabu, jednak rozmowy z nimi były szare, znacznie mniej atrakcyjne, mniej błyskotliwe niż z Magdaleną.

Wszystkie te pozytywne wrażenia, plon pierwszej naszej wspólnej wycieczki, miałem okazję zweryfikować jeszcze tego samego wieczoru, który spędziłem z piękną, zgrabną i młodą dziewczyną. No cóż, walory, że tak powiem, estetyczne okazały się w tej konfrontacji jedynymi walorami owej urodziwej damy.

Mijały dni. Magdalena nadal była częstym gościem w naszym lombardzie. Zastanawiałem się, jak wygląda życie w tym domu skazanym na ciągłą wyprzedź dobytku. Wkrótce nadarzyła się okazja, by poznać tajemnice sławnej Kossakówki.

Któregoś dnia Magdalena przybiegła z nowym zastawem i po załatwieniu wszystkich formalności zaprosiła mnie w imieniu swojej mamy do domu. Mówiąc szczerze, zaskoczyło mnie to, ale i uradowało ogromnie. Kossakówka była dla mnie światem egzotycznym i tajemniczym, owianym aurą niezwykłości. Nie mogłem odmówić. Przyjąłem zaproszenie. Była to okazja, aby poznać i zobaczyć ten świat na własne oczy.

Po śmierci Wojciecha Kossaka, który swoim malarstwem utrzymywał cały dom, mieszkańcy Kossakówki zostali bez środków do życia, nie tylko nie mieli stałego zajęcia, ale na dokładkę jeszcze kupę długów zaciągniętych w sklepikach spożywczych, u różnych spekulantów, handlarzy dostarczających podstawowych produktów. Nic dziwnego, że żyło się tu przeważnie na kredyt, pokrywany później ze sprzedaży drobnych

ruchomości domowych. Pod nóż szły kolejne obrazy, srebra, porcelana. Ponieważ dom był zasobny, nikt się tym specjalnie nie przejmował, choć oczywiście żal było wszystkim zastawianych czy sprzedawanych przedmiotów. Jedzenie było ważniejsze niż cokolwiek innego. Niejeden raz byłem świadkiem wymiany garderoby po ojcu, a później po matce na artykuły żywnościowe. W tych transakcjach handlowych Magdalena okpiwana była wprost niewiarygodnie. To była jej słabość, w tej dziedzinie nie miała za grosz talentu, więcej, była kuriozalnym beztalentem.

Nie wiodło się przeto Kossakom najlepiej. Na domiar złego z dawnych dobrych czasów pozostały w domu trzy stare służące, które pracowały tu od wielu lat i tak wrosły w pejzaż domu. – Byłoby zbrodnią zwolnić w tych czasach którąś z nich – mawiała starsza pani Kossakowa. Z drugiej strony trudno było zrezygnować ze starych przyzwyczajęń. Jakby nigdy nic, prowadzono dom jak za życia Wojciecha Kossaka, chociaż wiele się z jego śmiercią zmieniło.

Znana ze swej staropolskiej gościnności Kossakówka zawsze pulsowała życiem, chętnie odwiedzana przez najbliższych przyjaciół i przygodnych znajomych. Nie dziwota, że ze ścian znikały szybko kolejne obrazy, a z serwantek coraz to nowa porcelana, srebrne zastawy i inne precjoza. Słowem Kossakówka pustoszała.

Wróćmy jednak do mojej pierwszej w niej wizyty. O umówionej godzinie z siedmioma różami w garści – pamiętam to jak dziś – przekroczyłem próg Kossakówki. Jedna ze służących wprowadziła mnie do przestronnego salonu, który mieścił się na parterze, i zostawiła samego. Salon robił imponujące wrażenie. Byłem przekonany, że tak było tu zawsze i od śmierci mistrza Wojciecha nic nie zdążyło się zmienić. Wnet jednak dostrzegłem kilka ciemniejszych plam po wiszących tu niegdyś obrazach. Ponieważ nikt mi nie przeszkadzał, miałem okazję i czas, by przyjrzeć mu się uważnie. Zresztą wszystko tu przykuwało uwagę i nie sposób było stać obojętnie.

Punktem centralnym salonu był niewątpliwie dużych rozmiarów portret Juliusza Kossaka z dedykacją: „Rodzinie ofiaruje Leon Wyczółkowski”. Obok autoportret Wojciecha przy koniu i drugi autoportret

w mundurze ułańskim z roku bodaj 1878, dalej portret córek artysty, przedstawiający Marię i Magdalenę siedzące w bryczce. Moją uwagę przyciągał wspaniale malowany ręcznie wachlarz, a potem małe akwarele Juliusza. Obrazów było zresztą w salonie mnóstwo.

W rogu pokoju stało kryształowe lustro w antycznej ramie, obok stary wysłużony fortepian, nieco dalej dziewiętnastowieczny parawan, skórzane fotele, secesyjne kanapy oraz piękna biedermeierowska serwantka pełna starej, cennej porcelany. Ozdobą pokoju był dekoracyjny kominek z ciemnego sjenitu piętrzący się pośrodku głównej ściany. Palenisko zasłaniał kuty w mosiądzu stylowy, ażurowy wilk. Na wieńczącej kominek marmurowej płycie stało brązowe popiersie Eustachego Marylskiego – jedna z cenniejszych pamiątek rodzinnych, tuż zaś obok fotografie rodzinne w gustownych starych ramach, porcelanowe figurki, każda z innej epoki, oraz różne bibeloty i drobiazgi. Podłogę wyścielał podniszczony już mocno perski dywan tebriz.

W pierwszej chwili zdziwiła mnie ta zbieranina stylów i epok, począwszy od biedermeierów poprzez chippendale i secesję do trzcinowych krzesielek. Z czasem ten pozorny chaos nabierał kompozycyjnego sensu i ładu. Widać, iż ten dom rósł i starzał się wraz z rodziną, a teraz był jej historią.

Moje „studia” przerwało wejście obu pań. Magdalena przedstawiła mnie „Mamidle” – jak pieszczotliwie nazywała swoją rodzicielkę. Z jej twarzy, poważnej i dostojnej, emanowała dobroć. Mimo swoich osiemdziesięciu paru lat, ciężkich doświadczeń, jakich jej los w ostatnich latach nie szczędził, przypominała do złudzenia szczęśliwe, pełne wewnętrznego spokoju dystyngowane damy z dziewiętnastowiecznych portretów.

Przyjęła mnie bardzo serdecznie. Magdalena musiała wiele jej o mnie mówić. Po powitaniu nie omieszkała podziękować mi za pomoc udzielaną Magdalenie w tak przykrym i upokarzającym zajęciu jak zastawianie w lombardzie.

– Cóż nam, biednym kobietom, pozostało innego w tych koszmarnych czasach, jak tylko zastawiać w lombardzie, sprzedawać – mówiła